Cena 18 fen. — 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Sierpnia 1896. Nr. 15.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

X.
Godziny rozczarowania.

Prawie dla wszystkich mieszkańców zamku nadeszły teraz dni ciężkiej próby i niepokoju. Stary Hohenhofen był słabszym niż zwykle, a dotego humor jego stał się tak cierpkim, iż ciężarem zawisnął na wszystkich, którzy ze starcem mieli jakąkolwiek styczność. Nigdy Paula nie ukazywała się z twarzą bledszą i bardziej pognębioną, a jakkolwiek nie narzekała i unikała rozmowy dotyczącej stryja, jednak ile razy wracała z jego pokoju, wyglądała zawsze jak po przebyciu walki, w której zwycięztwo nie przypadło bynajmniej na jej stronę.

Pomimo to dotrzymywała swojego stanowiska, ustępując tylko wtedy, kiedy ją Franciszek namówił na przechadzkę do parku.

Wystarczali oni teraz sobie najzupełniej i tak dalece byli zajęci sobą, iż całkiem zdawali się zapominać o Edycie. To też amerykanka po dawnemu używała swego czasu, na samotne przechadzki po parku i sąsiednim lesie. Umyślnie wówczas unikała spotkania z Paulą i jej towarzyszem, ale za to tem pilniej śledziła ich kroki. Wprawdzie trzymała się zbyt daleko od nich, ażeby mogła dosłyszeć, o czem z sobą rozmawiali, jednak ich wyrazy znajdowały zawsze odgłos w jej duszy, sprowadzając w niej burzę, zdradzającą się gwałtowną zmianą jej twarzy. Nikt nie widział tego wyrazu bezbrzeżnego bólu, dręczącej zazdrości i potajemnej zgryzoty, które kolejno miotały nieszczęśliwą dziewczyną; raz tylko jeden gorzkie łzy zdradziły jej smutek wobec niespodziewanego świadka.

Pewnego dnia, w głębi prześlicznego zarośla, siedziała samotnie Edyta. Jej dziecięcy uśmiech, co jak blask wiosennego słońca opromieniał zwykle jej uroczą twarzyczkę, pokrywając nieprzejrzaną maską wewnętrzne wzruszenia, zniknął bez śladu, a ciężkie łzy spływały po policzkach. Była piękną, bo żaden wyraz goryczy nie ćmił jej wdzięków. Płakała spokojnie, jak dziecię, a łzy spływały cicho na jej piękne, bielutkie rączki bezwładnie spoczywające na pier-

siach. Jakiś list wymknąwszy się z jej palców, zsunął się przed chwilą na ziemię. Była ona tak głęboko pogrążona w myślach, że nie spostrzegła człowieka, który wyszedłszy z pomiędzy zarośli, postępował ku niej.

Ale i Franciszek nie spodziewał się zapewne zastać w tem miejscu wesołej miss Frinksly, spostrzegłszy ją bowiem zatrzymał się zdumiony. Przez chwilę nie mógł oderwać oczu od uroczej postaci, powtarzając sobie w duszy wśród gwałtownego bicia serca:

— Ach! jakaż ona piękna! Jaka zachwycająca! Ale na widok łez Edyty chmura posępnego zamyślenia pokryła twarz młodzieńca. Jego serce nie przestawało czynić mu wyrzutów, lubo najmniej zasługiwał na takowe, gdyż w ostatnich czasach, we śnie i na jawie, postać cudzoziemki stała bezustannie przed oczyma jego duszy. Unosiła się ona wciąż przed nim opromieniona swym niezrównanym, dziecięcym uśmiechem.

Zbliżył się spiesznie i podał jej list podniesiony z ziemi. Ich spojrzenia skrzyżowały się wzajemnie; amerykanka usiłowała się uśmiechnąć, ale przez to łzy tylko obficiej popłynęły z jej oczu.

— Miss Edyto! — odezwał się wzruszony Franciszek! — masz jakieś zmartwienie, a twoi przyjaciele nic o tem nie wiedzą.

— Moi przyjaciele! — powtórzyła z mimowolną goryczą dziewczyna. — Moi przyjaciele! albożja mam jakich przyjaciół na tym świecie? — I nim jeszcze Franciszek zdołał się odezwać, mówiła dalej z boleścią:

— Proszę mi darować, panie Ostitz, że w ten sposób odzywam się o przyjaciołach — ale zkądże mogłabym mieć inne przekonanie? Sądziłam dotąd, że posiadam przyjaciół w Londynie, a tymczasem ten mały kawałek papieru przekonał mnie, że nie mam już ani jednej przychylnej duszy, że jestem najzupełniejszą sierotą — pozostawioną samej sobie na Bożym świecie.

Po tych słowach odwróciła zapłakaną twarzyczkę, podczas gdy Franciszek z głębokiem współczuciem odezwał się znowu:

— A więc odebrałaś pani z domu jakąś przykrą wiadomość? Czy nie mogłabyś mi powierzyć swojego zmartwienia?

Edyta uśmiechnęła się, dziękując mu spojrzeniem, podczas gdy jej usta wyszeptały nieśmiało:

— Dzięki! tysiączne dzięki! ale ja tylko sama mogę sobie poradzić w tem nieszczęściu. Mówisz pan o złych wiadomościach otrzymanych z domu; ależ ja na całym świecie nie posiadam najmniejszego kąta, który mogłabym nazwać swoim domem. O tak, jestem najzupełniejszą sierotą, pozbawioną wszelkiej opieki.

— Ale dopóki ja żyję, nie będziesz pani mogła powiedzieć, że nie posiadasz przyjaciela! — zawołał z zapałem.

Edyta podała mu rękę w milczeniu, on zaś zatrzymawszy takową w swej męzkiej dłoni, jak gdyby dla potwierdzenia przyjacielskiego przymierza, przemówił proszącym głosem:

— Wszakże pomiędzy przyjaciołmi powinna panować zupełna otwartość, pomiędzy nami zaś istnieje dotąd coś takiego, czego sam zrozumieć nie mogę i co mi tylko ty Edyto możesz wytłómaczyć. Powiedz mi więc, czy mogę o to zapytać?

Oczy miss Frinksly dały pozwolenie.

— Jakkolwiek przy naszem spotkaniu w obecności Pauli, nie chciałaś się przyznać do mojej znajomości, jestem przekonany, żeś nie zapomniała miejsca, w którem nastąpiło pierwsze nasze poznanie. Wracałaś wtedy prosto z Nowego-Orleanu i nie wstępowałaś wcale do Londynu, który podajesz za miejsce swego urodzenia. Czy nie zechcesz mi wyjaśnić tego zboczenia od prawdy?

— O! i owszem, — odrzekła. — Nie skłamałam bynajmniej utrzymując, że Londyn jest mojem miejscem rodzinnem, bom w nim przyszła na świat i przepędziła pierwsze lata dzieciństwa. Później dopiero rodzice moi przenieśli się do Ameryki, i tam... umarli. Nie

wiedząc gdzie się obrócić w osieroceniu, udałam się do moich najbliższych krewnych w Londynie, którzy uważając mnie za niepotrzebny ciężar, odesłali do jednego z dalszych kuzynów pana Bergmansa. Ten użyczył mi chętnie schronienia na parę tygodni pod swoim dachem i sam mi się wystarał o miejsce, zapewniające utrzymanie przynajmniej na pewien czas. Jestem mu nieskończenie wdzięczną za to, że mnie umieścił w tutejszym zamku; chętnie zgodziłam się, ażeby nie wspominać nikomu, że przybywam z Ameryki, ponieważ Ameryka tu wzbudza podobno jakieś niemiłe wspomnienia. Dowiedziawszy się następnie rozmaitych szczegółów, byłam rada, że bez uszczerbku prawdy dotrzymałam danego przyrzeczenia. A teraz czy mój przyjaciel czuje się zadowolnionym? — dodała z czarującym uśmiechem.

— Najzupełniej! Rozumiem dobrze delikatność pana Bergmansa i będę ją umiał ocenić. Cieszy mnie, że z tak dziecięcem posłuszeństwem poszłaś pani za jego wskazówką; doznałem niesłychanej ulgi dowiedziawszy się całej prawdy. Wiedz bowiem, miss Edyto, że jesteś dla mnie tak drogą!

Przez chwilę zdawało się jak gdyby chciał ją przycisnąć do serca; już, już chciał wyrzec jakieś słowa, którychby potem nic więcej nie zatarło w życiu, lecz oprzytomniał nagle i gwałtem cisnące się oświadczenie skonało mu na ustach.

Nagle zdaleka, na zakręcie drogi, mignęła jasna sukienka Pauli. Przychodziła ona do parku na prośbę Franciszka. Wiedząc o tem, że go szukała, podniósł się spiesznie z miejsca i rzekł:

— Muszę już odejść, Paula mnie oczekuje, ale nie zapominaj pani, że odtąd niewolno ci się już oddawać posępnym myślom, a nadewszystko zapominać, że masz we mnie najwierniejszego przyjaciela. Czy mi to przyrzekasz, Edyto?

Przychylne skinienie głową było całą odpowiedzią ze strony Amerykanki.

Edyta nie poruszyła się z miejsca, spoglądając w osłupieniu za odchodzącym. Nagle twarz jej rozjaśniła się nowem życiem, szyderstwo i niewypowiedziana gorycz wykrzywiły jej usta, zapłakane oczy zaiskrzyły się dziko, i zawołała:

— A więc on mnie kocha! Tak, mnie tylko a nie Paulę. A jednakże nie do mnie to, nie do biednej płatnej towarzyszki, cudzoziemki, zwróci on kiedyś te słowa: »Czy zechcesz być moją żoną?« O! nie, usłyszy je bogata dziedziczka, miss Edyta może tylko posłużyć za zabawkę. Gotów on jest zdradzić dla pieniędzy nawet własne serce. Tak, dla pieniędzy i dlatego zamku, który ta święta Paula umiała sobie zdobyć za pomocą kłamstwa i podstępu, a przecie kłamstwa ona tak nienawidzi. O! czyliż ci dobrzy, poczciwi, święci ludzie są lepsi niż... niż...

Przycisnęła rękę do rozpalonych skroni i ścieżką puściła się w najgęściejsze zarośla.

Kiedy w parę minut później Franciszek wraz z Paulą przyszli do tego miejsca, na ziemi leżał tylko kawałek papieru oderwany od koperty. Franciszek podniósł go skwapliwie, a jakkolwiek nie było na nim nic więcej, oprócz pieczątki z napisem: »Londyn«, schował go jak kosztowną zdobycz.

Paula nie spostrzegła tego nawet; widocznie zmęczona, rzuciła się na tę samę ławkę, którą przed chwilą opuściła Edyta. Twarz jej była blada i zapłakana; cierpiała bowiem coraz więcej przy chorym, a chwile rozrywki minęły dla niej wraz z odjazdem Gerarda Martella. Ten ostatni wyjechał już przed trzema dniami, wkrótce po owej wspólnej przechadzce w salonach zamkowych. Zdawałoby się nawet, że jego opowiadanie znacznie się przyczyniło do dziwnego rozdraźnienia Pauli, która przed odjazdem miała bardzo długą rozmowę z gościem, w czasie której, jak zauważyła Edyta, wysiliła się na zatrzymanie w zamku przyjemnego turysty. Sama delikatność jednak nie pozwalała pozostać Gerardowi, ponieważ stan chorego coraz się bardziej pogarszał, wymagając

więcej niż kiedykolwiek ustawicznej pieczołowitości Pauli i Franciszka.

Od tego czasu właśnie rozpoczęły się dla mieszkańców zamku owe dni smutku, chociaż zdrowie Hohenhofena polepszyło się znowu. Nawet stara Małgorzata stała się teraz mniej gadatliwą i pewnego dnia zapytana przez miss Frinksly, odpowiedziała tylko:

— Ach! co też ten anioł Paula z nim wycierpi; szczęście, że Franuś jako tako jej pomaga.

Franciszek w samej rzeczy był pełen poświęcenia i z tkliwością niemal ojcowską czuwał nad Paulą; ona odpłacała mu równem przywiązaniem i miała w nim zaufanie bez granic.

— Teraz dopiero, kochany Franciszku, lżej mi na sercu; opowiadanie Martella rozniecilo we mnie promień nadziei, że trafimy na ślad tej nieszczęśliwej kobiety! — odezwała się po chwili Paula. — Byle tylko Pan Bóg poszczęścił jego poszukiwaniom.

— Jednak nie bardzo się łudźmy nadzieją przebłagania ojca; wszak znasz jego nieugiętość.

— O! wiem o tem aż nadto dobrze, ale mimo to nie należy ci dłużej zwłóczyć Franciszku.

— Bądź spokojna Paulo! Tutaj właśnie, na tem samem miejscu, siedziałem obok mojej matki, kiedy będąc jeszcze małym chłopcem poprzysiągłem jej, że dopóty nie spocznę, dopóki nie spełnię jej życzenia. Nie wątpię, że mi się nakoniec powieść musi, przy pomocy twojej; ale musimy jeszcze przebyć nie jednę walkę i to bardzo ciężką.

— Nie masz zwycięztwa bez walki! — odrzekła, — bądźmy odważni. Czy jutro pomówisz ze stryjem, Franciszku?

— Tak jest, jutro.

— A teraz wracajmy do domu.

Przez cały ten czas u stóp pagórka porośniętego krzewami, spoczywała Edyta. Leżała tak spokojnie jak gdyby spała, a jednakże spokój był dalekim od jej duszy. Po chwili zerwała się z miejsca, tupnęła niecierpliwie nogą, krew gwałtownie uderzyła jej w skroniach, a na twarzy, płonącej rumieńcem, zjawił się wyraz niezłomnego postanowienia.

— Teraz, lub nigdy! — zawołała. — Dość tych namysłów! tego wahania! Ach! jakże nienawidzę Pauli, która gwałtem chce zabrać wszystko co do niej nie należy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O SCHIZMIE BUŁGARSKIEJ.

(Dokończenie.)

Tyle potrzebował kupiec godności patryarszej do przekupienia wpływowych urzędników. Z tego powodu mogli jedynie najbogatsi fanaryoci uzyskać patryarchat Konstantynopolitański. Kto tych pieniędzy nie miał, pożyczył ich sobie, zkąd mógł, płacąc grube procenta i zapewniając wierzycieli, że spłaci je przez kupczenie stolicami biskupiemi. Kto chciał zostać biskupem, płacić musiał patryarsze 4000 dukatów. Biskup chętnie płacił, ponieważ były stolice, na których rocznie zarabiał 200 tysięcy piastrów, — kilkadziesiąt tysięcy marek. Było to więc najhaniebniejsze kupczenie godnościami kościelnemi, świętokupstwo. Biskup kupczył znowu probostwami. Niejeden bogaty proboszcz kupował do 20 probostw od razu i także niemi kupczył. Czyż wobec takich stósunków można było myśleć o uszlachetnianiu umysłów i serc? Toć to nie byli kapłani, ale prości lichwiarze, którzy w haniebny sposób sprzedawali dusze ludzkie. Do tego byli to najzagorzalsi nieprzyjaciele wszystkiego, co bułgarskie. Taki Biskup, taki kapłan bez serca i sumienia uważał sobie za pierwszy a może za jedyny obowiązek niszczyć wszystkie objawy życia bułgarskiego. Posłuchajmy,

co o tem piszą rosyjscy historycy! Nie znając języka ani obyczai ludu bułgarskiego, nie troszczyło się duchowieństwo fanaryockie wcale o potrzeby parafian swych, owszem starało się utrzymywać ich w ciemnocie, ażeby w ten sposób w myśl rządu tureckiego odbierać im powoli resztki poczucia narodowego, wszystko więc, coby mogło im przypominać przeszłość i narodowość. W ostatnim czasie poczęto prześladować nawet szkoły bułgarskie. Wszędzie gwałtem zaprowadzono język grecki. Książki i rękopisma słowiańskie niszczono, przytem w najszkaradniejszy sposób znęcano się nad ludem bułgarskim.

Kapłan bułgarski czyli raczej grecki nie wiedział wcale, co to miłość bliźniego, którą głosił, gardził wprost ludem bułgarskim. Był w jego rękach jedynie środkiem do celu, to jest do niegodnego zbogacania się najhaniebniejszem wyzyskiwaniem.

Ażeby w jakibądź sposób uwolnić się od nienasyconej chciwości fanaryotów, opuszczali liczni bułgarzy kraj i udawali się do Serbii, Mołdawii, Rosyi lub na Wołoszczyznę. Inni zostawali katolikami albo przechodzili na islam. W roku 1767 zniesiono nawet stolicę biskupią w Ochridzie, gdzie to dawniej był patryarchat bułgarski. W ten sposób pozbawiono Bułgarów ostatniej żywej pamiątki, która im przypominała odległe czasy i świetność Bułgaryi.

I rzeczywiście udało się tureckiem i greckiem usiłowaniom doprowadzić Bułgarów do największego poniżenia. Jako naród nie istnieli oni w oczach świata osiemnastego wieku. Historycy nie wiedzieli wcale, że istnieje jeszcze naród bułgarski, który kiedyś jeszcze wystąpi na widowni politycznej. Nawet bracia Słowianie nie wiedzieli prawie nic o historyi bułgarskiej a tem mniej o mowie Bułgarów. Czyż dziwić się temu, jeśli się zważy na ucisk ze strony fanaryotów, którzy zniszczyli, o ile się dało wszelkie dokumenta, dotyczące historyi Bułgarów i świadomie dążyli do wynarodowienia ich i do poniżenia mowy ich ojczystej.

Pan Bóg jednak większy od mocarzy tego świata i Opatrzność Jego nie pozwoliła zwyciężyć złości i przebiegłości ludzkiej. W roku 1762 napisał skromny, bułgarski mnich Paysij książeczkę pod tytułem: Słowiańsko-bułgarska historya o narodzie bułgarskim, o jego carach i Świętych i o wszelkich czynach bułgarskich. W niej to w ciepłych słowach, pochodzących z serca, bolejącego nad uciemiężeniem narodu swego, zajmuje się pobożny zakonnik świetną przeszłością swego narodu i z oburzeniem patryotycznem zwraca się przeciwko tym, którzy porzucili narodowość ojczystą a zwrócili się ku bożyszczu greckiemu. Głos zakonnika nie był głosem wołającego na puszczy; książeczkę jego wszyscy chciwie czytać poczęli, przechodziła ona z rąk do rąk i zanim w druku wyszła, wiele osób ją sobie odpisało. Zapał tysiące ludu ogarnął. Pomiędzy tymi znajdował się zacny biskup Sofroniusz, który niestrudzenie i nieustraszenie walczył przeciwko okropnościom, jakich się właśnie naonczas dopuszczało duchowieństwo fanaryockie. Całe wagony starosłowiańskich cennych dzieł, rękopism, dokumentów palono, zagrzebywano lub niszczono w inny sposób. Osiągnęli w końcu ci ludzie to, że każdy Bułgar, który pragnął nazywać się »człowiekiem«, musiał mówić po grecku; każdy też Bułgar, który nie był chłopem, wypierał się swego pochodzenia bułgarskiego i swej mowy i stawał się Grekiem a jako taki zapalczywym prześladowcą wszystkiego, co mu kiedyś było drogiem. W fanatyzmie tym bowiem pragnął zagłuszyć, pragnął utopić wyrzuty sumienia. Dla tego też podobnie jak na Górnym Śląsku jedynie pomiędzy ludem zachowała się mowa ojczysta. Pomiędzy ludem wiejskim a miejskim wyrósł mur duchowy, który odgraniczał coraz więcej jednych od drugich. Wzajemne przeciwieństwa zaostrzyły się powoli tak dalece, że stały się nieznośnemi.

Fanaryotom na tem zaostrzaniu stósunków zależało jak najwięcej i oni to przyczyniali się do tego, że lud wiejski

coraz to więcej oddalał się od swych braci w mieście, którzy go odstąpili. Bezwstydność w wyzyskiwaniu ludu przez fanaryotów nie znała granic. Zbrodniarz najpospolitszy nieraz uczuwa litość, nieraz odzywa mu się serce i sumienie, fanaryota, to jest kapłan, który pod tym względem miał przykładem świecić, sumienia nie znał. Gdy tylko spostrzegł objawy choćby najdrobniejszego niezadowolenia w jakiejkolwiek rodzinie, tak długo je podsycał, dopóki nie doprowadził do rozwodu. Chodziło mu o to, ażeby przy rozwodzie dobrze się obłowić. Czy Kościół na to pozwalał, nie obchodziło go; za pieniądze robił wszystko.

Niegodziwość tych ludzi rujnowała nietylko szczęście osób pojedyńczych, ale dobrobyt całych wsi. Kto biskupa nie potrafił opłacić, temu poprostu wszystko zabierano. Na wiele wsi rzucał »arcypasterz« klątwę kościelną, jedynie dla tego, że jego chciwości nie zdołały zadowolnić. Za wydarte biednym gminom pieniądze budowano za to wspaniałe pałace, w którym niegodziwy, wyzuty z wszelkich szlachetniejszych uczuć biskup prowadził życie hulaki i człowieka, oddanego huciom najgorszego rozpustnika.

W końcu przebrała się jednak miarka cierpliwości u depconego w najświętszych swych uczuciach ludu bułgarskiego. W roku 1828 utworzyło się stronnictwo, które dążyło do zrzucenia ze siebie jarzma tureckiego i greckiego. W następnym roku wydał młody rosyjski lekarz Wenelin książeczkę pod tytułem: »Starzy i nowi Bułgarowie«, w której dowodził, że Bułgarzy są Słowianami. Książeczka ta wywarła bezprzykładne wrażenie. Rozbudziła się w Bułgarach świadomość ich narodowości. Na pomniku Wenelina wyryli napis, że on światu przypomniał zapomniany, kiedyś tak sławny i potężny lud bułgarski.

Książka Wenelina podziałała jak różczka czarodziejska. Z gorączkowym pospiechem poczęto zakładać szkoły bułgarskie, drukarnie. Jakby z pod ziemi poczęli wyrastać bułgarscy uczeni, lud cały począł lgnąć do nauki i oświaty. Fanaryoci czynili, co mogli, ażeby przytłumić iskrę, która tak silnym wybuchnęła płomieniem. Dokonali jednak tego, że w roku 1851 wybuchło krwawe powstanie, które Turcy w potokach krwi ludzkiej zdołali stłumić. Ale ogólne wzburzenie rosło coraz więcej, wołanie za wygnaniem duchowieństwa greckiego i stworzeniem narodowego Kościoła coraz potężniejsze. W niektórych okolicach wygnano po prostu fanaryotów. Rozjątrzenie przybrało w końcu taką postać, że kilku narodowych przywódzców poruszyło myśl połączenia się z Rzymem. Przy końcu 1860 roku przyszło pomiędzy deputacyą bułgarską a generalnym wikaryuszem Brunonim rzeczywiście do postawienia wzajemnych warunków. Sprawa jednak cała się rozchwiała z powodu oziębłości mocarstw katolickich a z drugiej strony z powodu podszczuwań Moskali i Anglików.

Lud bułgarski począł wymierzać sobie teraz sprawiedliwość na własną rękę. Począł wyganiać biskupów i księży. Fanaryoci mścili się za to jak mogli i w Konstantynopolu otruli dwóch braci Milodynów, wielce zasłużonych około literatury bułgarskiej. Chwyciła teraz garstka Bułgarów z okrzykiem: »wolność lub śmierć« za broń i walcząc bohatersko, zginęła za sprawę ojczyzny. Śmierć tej garstki była nasieniem, z którego miał wyrość bujny plon. Na rząd powstanie tej garstki wywarło takie wrażenie, że radzono sułtanowi nie opierać się Bułgarom dłużej, lecz dać im własnego patryarchę, któryby od nikogo nie był zależnym. Opierał się temu patryarcha w Konstantynopolu całą siłą, ale sprawa Bułgarów zwyciężyła. Dnia 27 Lutego 1870 wydał sułtan orędzie, że pozwala Bułgarom wybrać sobie własnego patryarchę. Patryarcha rzucił klątwę na Kościół bułgarski, i do dziś dnia stara się o to, ażeby poddano go pod jego władzę, ale do tego pewnie nie przyjdzie. Bułgarzy doświadczyli przez długie wieki, że zależność od Konstantynopola równałaby się poświęceniu narodowej niezależności. Bułga-

rzy dążą do zagarnięcia powoli Macedonii, która należy do dziś jeszcze do Turcyi, ale która jest przez Bułgarów zamieszkałą. Dokonać zaś tego mogą z biegiem czasu jedynie przez to, że stać będą w przeciwieństwie do patryarchy w Konstantynopolu, którego i Macedończycy nienawidzą.

Przekonujemy się z powyższego opowiadania jak najdobitniej, że jedynie wiara ojców zdolną jest utrzymać naród przy świadomości politycznej i spółecznej, zdolną jest do poświęcenia nawet życia w obronie ideałów narodowych. Gdzie wiara ta zanika, tam i narodowość znika, i na odwrót: naród, który wyrzeka się mowy przodków swych, który więc wyrzeka się jednego z najdroższych swych skarbów, wyrzeknie się powoli i wyznania swego. Przyjąwszy narodowość obcego plemienia, przyjmuje jego zwyczaje i obyczaje, a choć nie on, to potomkowie jego przyjmą i wiarę tegoż plemienia.

Śp. Franciszek Dobrowolski.

Wypada nam skreślić niniejszem pokrótce żywot człowieka, który przez 25 lat był najwybitniejszą postacią życia narodowego i społecznego w granicach prowincyi polskich, należących dziś do Prus. Najwybitniejszą powtarzamy, bo miał zmysł i środki po temu, ażeby w tej znacznej przestrzeni czasu zjednoczyć w swej osobie wszystko, co się obracało około rozwoju ducha i poczucia narodowego. Tym człowiekiem był śp. Franciszek Dobrowolski. Zmarły był naczelnym kierownikiem »Dziennika Poznańskiego«, dziennika politycznego, który do dziś dnia jeszcze jest najznaczniejszym pod względem objętości i najwpływowszym z dzienników polskich pod zaborem pruskim.

Dziennikarstwo w dzisiajszym czasie, jak słusznie zauważają ludzie, badający obecne stósunki ludzkie, jest ósmą potęgą świata. Gazety są bowiem wyrazem opinii publicznej, są nawet we większej części nauczycielami tej opinii i potęgą słowa, zręcznością dowodzeń i karceniem wszelkich nadużyć, popełnianych w dzisiejszem życiu publicznem przez warstwy tak nazwane uprzywilejowane, przez kierowników staroczesnego zakroju, kierują moralnie spółeczeństwami. Gazety dokazały tego, że poziom oświaty publicznej na polu spółecznem i ekonomicznem doszedł do dawniej nie marzonej, iście cudownej potęgi. Pojęcia publiczne doznały iście wstrząsającego przewrotu. Panowanie jednej warstwy narodu, szlacheckiej, zwaliło się w gruzy z błyskawiczną szybkością, warstwy ludu zaś, do ostatnich czasów uchodzące za kopciuszków narodowych, za posłuszne dzieci ojców narodu, wybiły się do równouprawnienia w spółeczeństwie na wszelkich polach pracy organicznej narodu. Tego wszystkiego dokazały w głównej części gazety a redaktorzy ich wyrośli na kierowników ludu.

Człowiek redaktor, który okiem ducha obejmuje położenie chwili, widnokrąg polityczny, i potrafi je ująć należycie, potrafi je wyzyskać, staje się kierownikiem warstwy spółecznej, dla której pracuje, tem potężniejszym zaś, gdy ma do swych usług pismo, w którem swemi poglądami może od razu podzielić się z masą ludu. Redaktor to dziś, że się tak wyrazimy, apostoł za wiarę spółeczną. To człowiek, który może stać się błogosławieństwem dla warstwy, dla której pracuje, gdy zdolnościami swemi dzieli się bezinteresownie z wyznawcami swymi, gdy im nietylko zdolności swe daje w ofierze, ale i serce, gdy siebie samego poświęca dla sprawy, dla której pracuje, gdy swego osobistego »ja« nigdy i nigdzie nie wysuwa naprzód, gdy pracuje przytem w roli człowieka na wskroś wielkodusznego, szlachetnego, który nieprzyjaciołom swym nietylko oddaje to, co im się należy, ale w skromności ducha nie odpłaca im się pięknem za nadobne, który dalej pozwala dzielić się swą sławą, swem wzięciem, swym wpływem i z drugimi, pomnąc, że im więcej pracowników na niwie spółecznej, tem chwalebniej dla spółeczeństwa. Natura ludzka ma tę właściwość, że przeczuwa istotę drugiego, że ocenia jego wartość moralną. Wdzięczność więc spółeczeństwa towarzyszy już za życia kierownikom pisma, które całą swą istotę oddały na jego usługi a pamięć ich wiecznie żyć będzie w sercach wszystkich.

»Dziennik Poznański« był i jest, jak już zaznaczyliśmy, tym organem, które dotąd spółeczeństwem polskiem pod zaborem pruskim kieruje. Zmarły zaś był jego naczelnym redaktorem. Pytamy się teraz: był zmarły redaktor tą istotą, która całego siebie poświęciła dla dobra sprawy? Na to odpowiedzieć możemy: niezupełnie. Dla czego nie powiadamy »tak« albo »nie?« Ponieważ zmarły



OPOWIADANIE O WOJNIE.

kochał ojczyznę swą, kochał więc wszystko, co mogło się przyczynić do podniesienia poziomu społecznego, co mogło więc podnieść znaczenie życia polskiego wśród obcych narodów i rozbudzić tem więcej myśl o słuszności istnienia narodu jako narodu polskiego. Powtarzamy, kochał on to wszystko całą duszą. Jako redaktor oddawał całą swą istotę na usługi społeczeństwa polskiego, wszystkie nerwy mózgu i serca mu poświęcał, nie dbał o zaszczyty, sławę i majątek. Pracował niestrudzenie od rana do nocy, wszędzie go było pełno a jednak... obok ojczyzny kochał i siebie. Wielkoduszność była u niego wielka, ale ambicya rządzenia społeczeństwem jeszcze większa. Ażeby to twierdzenie udowodnić, przebiegniemy pokrótce żywot tego człowieka:

Franciszek Dobrowolski urodził się 20-go Lipca 1830 roku w Suchympolu pod Gombiniem w Królestwie Polskiem. Poświęcił się prawu i w 21 roku życia został sędzią. W roku 1862 był sekretarzem dziesiątego oddziału rządzącego senatu w Warszawie, mógł więc na stanowisku rządowem dobiedz zaszczytów i grosza. Porzucił jednak to stanowisko, i służył powstaniu w roku 1863. Był naczelnikiem ruchu w powiecie rawskim, po dwakroć członkiem rządu narodowego a w końcu częściowo i ministrem spraw wewnętrznych. O tem jego działaniu podczas powstania piszą tak: »Dobrowolski w swej osobie skupiać się starał wszystkie teki spraw wewnętrznych, zagranicznych i skarbu, — a że wszystkiemu nie mógł podołać, zastój zapanował tam, gdzie niedawno praca zawrzała.« Po powstaniu przesiedział przeszło rok na wygnaniu, i byłby może na śmierć skazany, gdyby Rosya była wiedziała, jak ważną odgrywał rolę podczas powstania. Dowiedziała się ona o tem, gdy Dobrowolski był już w Dreźnie w Niemczech u dobrego swego znajomego, sławnego powieściopisarza polskiego, Kraszewskiego. Za tegoż poleceniem został Dobrowolski redaktorem naczelnym »Dziennika.« Tu odrazu zdolności dziennikarza pokazał. Ażeby tem prędzej poznano się na jego zręczności, urządzał co Niedzielę po południu w redakcyi »Dziennika« zebrania, na których brali udział wszyscy prawie kierownicy ówcześni społeczeństwa, pomiędzy nimi posłowie Niegolewski, Łyskowski, Kantak i inni. Na tych pogadankach, które obracały się około życia politycznego i społecznego głos śp. Dobrowolskiego ważył zawsze i po większej części przeważał. Rzec można, że od tych pogadanek zależało nieraz stanowisko posłów polskich w sejmie i parlamencie niemieckim. Redakcya »Dziennika« stała się więc ową kuźnią, gdzie kierowano rzeczywiście społeczeństwem. Pogadanki owe bezwątpienia wpłynęły na przyszły los i stanowisko, jakie zajął i zajmował aż do ostatniej chwili ś. p. Dobrowolski. »Dziennikiem Poznańskim«, który jest własnością spółki akcyonaryuszów, a która to spółka składa się z posłów i innych kierowników społeczeństwa polskiego, kierować począł wyłącznie nieboszczyk. Za jego poprzedników mieli wpływ na sprawy »Dziennika« ci właśnie właściciele, pod Dobrowolskim wpływ ten przeszedł na niego samego. Dobrowolski stał się więc rzeczywistym kierownikiem spraw, obchodzących społeczeństwo polskie. Należał też i brał udział we wszelkich pracach, mających dobro sprawy na oku. Był sekretarzem prowincyonalnego komitetu wyborczego, prezesem komitetu wyborczego na miasto Poznań, był współpracownikiem i członkiem dyrekcyi Towarzystwa Pomocy Naukowej dla dziewcząt polskich, dyrektorem teatru polskiego, zajmował się wysyłką dzieci polskich na wsie w celu pokrzepienia ich zdrowia, urządzał co rok gwiazdkę dla dzieci polskich, należał do rozmaitych towarzystw polskich, słowem nie było zakładu polskiego, w którymby ś. p. Dobrowolskiego nie było i w którymby on mimo nawału pracy nie był brał czynnego udziału. Był więc dla każdego z nas najwznioślejszym przykładem prawdziwego obywatela polskiego, który, rzec można, pracował nad siły swoje. Pracował za wiele, pracował za drugich, oduczając innych pracowania nad dobrem społeczeństwa, skutkiem czego brak jego da się uczuć dotkliwie naszemu społeczeństwu, jak przyznaje sam »Dziennik Poznański.« I to jest właśnie ów powód, który rzuca mały cień na istotę zmarłego. Jako kierownik społeczeństwa, którym się stał w pierwszym rzędzie przez swą zręczność i zabiegliwość, przez swą wytrwałość i silną wolę, pracę i poświęcenie, powinien był pamiętać o tem, że stratę wielką, rzec nawet można niezmierną, wyrządza społeczeństwu, nie przybrawszy sobie do pomocy ludzi, podobnych sobie, którzyby go dostatecznie potrafili zastąpić. Możnaby to wyrozumieć, gdyby na takich zbywało, ale dzięki Bogu, ma ich społeczeństwo polskie. Czemu ich zatem ś. p. Dobrowolski nie przypuszczał do tego współdziałania? Ponieważ chciał sam pracować i stać się niezbędnym. Nie czynił tego z próżności, ale z uporu, który tkwił w jego usposobieniu, a którego zwalczać albo nie chciał, albo nie umiał. Ta to właśnie ambicya rządzenia, wyłącznego kierowania losami społeczeństwa stworzyła mu bardzo wielu nieprzyjaciół osobistych, którzy porówno z nim pragnęli służyć społeczeństwu, jeno nie chcieli zależeć od jego zasad, od jego poglądów, od jego sposobów kierowania społeczeństwem. Każde cywilizowane społeczeństwo dzieli się w swych poglądach około wspólnej pracy narodowej i pragnie swobody w urzeczywistnianiu tychże, pragnie osobnemi drogami dą-

żyć do wspólnego celu. Śp. Dobrowolski rozumieć tego nie chciał, a że miał większość kierowników za sobą, więc miażdżył wszelkie inne wpływy. Możnaby tu właśnie zastósować słowa charakteryzujące jego działalność z 63 roku, »że brał na swoje barki za wiele, więc nie mógł podołać i zastój zapanował tam, gdzie niedawno wrzała praca.« Nie dziw, że spółeczeństwo w Księztwie Poznańskiem rozdwojone wrogo ku sobie jest usposobione, bo niebożczyk i organ jego nieraz tak sprawami publicznemi kierował, że to musiało rozgoryczać jedną część spółeczeństwa.

Zasługi jednak, jakie niebożczyk położył około spółeczeństwa, przetrwają go. Był znakomitym organizatorem politycznym i czynił wszystko, ażeby w warstwach średnich rozbudzać świadomość poczucia obywatelskiego i narodowego i w ten sposób utworzyć podwalinę przyszłego bytu naszego spółeczeństwa.

PIEŚŃ POLSKIEJ MŁODZIEŻY.

(Na nutę: »Piękna nasza Polska cała.«)

Myśmy młodzież narodowa,
Ciałem, duchem — dzielna, zdrowa;
Nie ciemięgi, nie niemrawy,
Żyjem — dumni z przodków sławy,
Z chlubnych po nich cnót w spuściźnie
Wierni Bogu i Ojczyznie.

Jak daleko mowa lasza,
Tak się ciągnie Polska nasza;
Przy niej stoim z całą duszą,
Do odstępstwa nas nie skuszą.
My nie podłe ich służalce,
Nie płaszczące się padalce.

Nasze domy i kościoły,
To najpierwsze swojskie szkoły;
Swym językiem w nich mówimy
W tym się cieszym, w tym modlimy,
Tego matki nas uczyły,
Żaden inny nie tak miły.

Związków polskich się trzymamy;
Gdzie ich brak — tam je stwarzamy.
W nich — bo i w najgorsze chwile
Razem — czujem się na sile,
Gardzim każdym z tych psubratów,
Co chcą z nas mieć renegatów.

Zaufanie nas posiada
Ten, kim myśl ojczysta włada;
Z tymi tylko przestajemy,
W których dźwięki jej znajdziemy,
W czyich domach nasz obyczaj,
A głos polski brzmi zazwyczaj.

Nawet powag — gniew, namowa,
Ni nas słodkie zmylą słowa;
Kto nie działa w polskim duchu,
Ten nie ma u nas posłuchu.
Chytrzy wrodzy przywędrowce
Nie zawiodą nas w manowce.

Przywędrowce ci nas cieszą,
Gdy — zkąd przyszli — tam znów spieszą,
Biorąc ich z śród nas spodlonych,
Zdradą braci pohańbionych.
Wszystkim im — z wyroku Boga
Przyjdzie raz — precz z kraju droga.

Piast.

MAŁPY.

(Dokończenie.)

Oceany toczą swe fale pomiędzy starym i nowym lądem. Czy tak było zawsze, czy też może przed nieobjętym myślą szeregiem wieków lądy te stanowiły łączną z sobą całość; tego uczeni z pewnością nigdy nie dojdą. Rzuciwszy okiem na małpy obu lądów widzimy że murzyni afrykańscy o wełniastych włosach i czerwonoskórzy indyanie więcej mają cech wspólnych, niż małpy zamieszkujące oba lądy. O wędrówkach zatem małp z jednej części świata do drugiej nie może być mowy.

Największą część zwierząt zamieszkujących dziewicze lasy Brazylii stanowią małpy, gdyż każdy gatunek ma licznych przedstawicieli, nawet na niewielkiej stósunkowo przestrzeni. Małpy

te chyba w ostateczności opuszczają mieszkania swe na drzewach, a w otwartych miejscach nie bywają nigdy widziane, gdyż niewyczerpane bogactwo lasu dostarcza im wszystkiego czego do utrzymania życia potrzebują. Są one wybornie zbudowane do tego wyłącznego życia na drzewach, gdyż znacznie większa część, oprócz zwykłych czterech rąk, posiada jeszcze piątą, w postaci chwytnego ogona, która w pewnych okolicznościach więcej znaczy niż wszystkie cztery razem wzięte.

Długi, porosły krótkim włosem, na końcu na dolnej stronie nagi, ogon ten tak mocno się obwija koło gałęzi drzewa, że wolno wisząca małpa nie potrzebuje do trzymania się pomocy żadnego innego organu. Nawet śmiertelnie raniona małpa spadająca z drzewa pomiędzy gałęziami, chwyta się jeszcze ogonem za gałąź, a ten uścisk nie pierwej się rozluźni, aż w całym organizmie zagaśnie ostatnia iskierka życia i ciało, jako bezwładny trup, zwali się na ziemię.

Chwytnoogonowe małpy stanowią zatem najwybitniejszą grupę szerokonosych amerykańskich małp, pomiędzy niemi znowu szczególnie się odznaczają w y j c e. One to, przerażającemi swojemi głosami trzymają prym w tym okropnym koncercie, którym rozbrzmiewają co noc lasy brazylijskie. Aleksander Humboldt tak je opisuje: »Poniżej missyi Santa Barbara de Arichuna, przepędziliśmy noc jak zwykle na świeżem powietrzu, na piaszczystem wybrzeżu rzeki Apure. Otaczał je pobliski, nieprzeniknionej gęstości las. Z nie.nałym kłopotem nazbieraliśmy suchego drzewa dla rozpalenia ognisk, którenii według miejscowego zwyczaju każde obozowisko się otacza, w obawie przed napaścią jaguarów. Noc była łagodnie wilgotną i księżyc jasno świecił.

Wetknęliśmy starannie w ziemię wiosła naszych łodzi, aby na nich rozwiesić nasze hamaki. Panowała wielka cisza; lecz o godzinie jedenastej powstał taki piekielny wrzask w bliskim lesie, że na całą noc trzeba się było wyrzec snu. Dziki zwierzęcy ryk rozbrzmiewał w lesie. Z pośród licznych, jednocześnie odzywających się głosów, Indyanie te tylko mogli rozróżnić, które następowały po sobie pojedyńczo, w krótkich przestankach. Było to jednostajnie brzmiące wycie wyjców, piszczący, wysoki ton małp sapajou, mruczenie pręgowanej nocnej małpy, ryk wielkiego tygrysa, kanguara czyli amerykańskiego lwa bez grzywy, pekari, leniwca i całej rzeszy papug, parraquas i innych do bażanta podobnych ptaków. Skoro tygrysy zbliżyły się do brzegu lasu, nasz pies, który przedtem bez przerwy ujadał, zaczął szukać schronienia pod hamakami. Czasem ryk tygrysa rozlegał się ze szczytu drzewa; towarzyszyło mu wtedy żałosne gwizdanie małp, usiłujących ujść przed niezwykłą pogonią. Jeśli zapytamy Indyan, dla czego w pewne noce powstaje taki straszny hałas, odpowiadają śmiejąc się: zwierzęta radują się jasnemu blaskowi księżyca i święcą pełnię. Mnie ta scena wydaje się przypadkową, lecz długotrwałą i coraz wzrastającą walką pomiędzy zwierzętami. Jaguar ściga pekarisy i tapiry, które zwartą kupą przedzierają się przez drzewiaste zarośla, utrudniające im ucieczkę; przestraszone tem małpy, głosy swoje ze szczytu drzew łączą z głosami zwierząt pozostających na ziemi, wrzawa ta budzi gromadnie gnieżdżące się ptaki, które swoją koleją przyłączają się do tego piekielnego koncertu, w którym cały świat zwierzęcy bierze udział. Późniejsze doświadczenie przekonało nas, że nietylko »święcenie pełni księżyca« mąci spokój lasów. Wrzask był najgłośniejszy podczas gwałtownej ulewy, albo wtedy gdy przy huku grzmotów jasna błyskawica rozświeca gęstwinę puszczy. Wyjce występują z dziwacznym swym koncertem nawet wtedy, gdy nie ma takiej stopniowo rozpalającej się walki pomiędzy zwierzętami i zdarza się nawet we dnie. Schomburgk powiada: »Gdy pewnego poranku wyszedłem po śniadaniu w stronę dziewiczego lasu, zaopatrzony we wszystkie przybory myśliwskie, odezwało się z głębi lasu owe przeraźliwe wycie i wzbudziło we mnie myśliwski zapał.

Pospieszyłem przeto prosto przez gęstwinę zarośli w kierunku, w którym rozlegało się wycie i nareszcie, po długiem, męczącem szukaniu, udało mi się zejść całe towarzystwo; siedziało ono przedemną na wysokiem drzewie i wykonywało tak piekielny koncert, że możnaby sądzić, iż wszystkie zwierzęta leśne toczą między sobą zajadłą walkę chociaż nie można zaprzeczyć, że panowała w niem pewna zgodność, gdyż na dany znak umilkało całe na drzewie rozmieszczone towarzystwo, to znowu jakiś solista zaczynał niespodzianie wywodzić djabelskie swoje gorgi, to znowu cały chór odzywał się wyciem. Przez



W SZKOLE SERBSKO-ŁUŻYCKIEJ.

chwilę tony jego podobne były do krząkania świni, lub do ryku jaguara, kiedy się rzuca na swoją ofiarę, lub przechodziło w groźne mruczenie tego zwierza, gdy ze wszech stron otoczony, widzi grożące mu niebezpieczeństwo. Przerażający ten koncert miał wszakże i zabawne swoje strony, a nawet na twarzy najbardziej ponurego człowieka wykwitłoby coś podobnego do uśmiechu, gdyby mógł widzieć jak ci brodaci i do djabłów podobni koncertanci poważnie i pilnie patrzeli sobie w oczy. Powiadano mi, że każda trzoda posiada własnego śpiewaka — solistę, który nie tylko swym wysokim, przeraźliwym głosem góruje nad resztą chórzystów, lecz odznacza się przytem silniejszą i zgrabniejszą postawą. W trzodzie, którą miałem przed oczami, sprawdziłem pierwszą część tego twierdzenia; wprawdzie napróżno upatrywałem wysmuklejszej i zgrabniejszej postaci, lecz za to ujrzałem na najbliższem drzewie dwie milczące małpy, które wziąłem za wartę. Jeśli rzeczywiście taki był ich obowiązek, to wywiązały się z niego bardzo źle, gdyż w jednej chwili stanąłem niepostrzeżenie w ich pobliżu«. Pomimo to wszystko, przyczyna dla której te małpy wykonywają takie przerażające koncerta, jest dotychczas nieodgadnioną zagadką; chyba przyjmiemy, że małpy znajdują szczególną przyjemność w tym piekielnym wrzasku, zdolnym zdaje się rozsadzać skały.

KONIEC.

O SERBO-ŁUŻYCZANACH.

Garść Słowian znana pod imieniem Łużyczan, przez Niemców Wendami zwanych, zamieszkałych w saksońskiej i pruskiej Luzacyi, od wieków startych i zgnębionych przez Niemców, przedstawia dziś fenomenalne zjawisko; bo niezważając na najsmutniejsze koleje, jakie przechodzić musiała, nie tylko zdołała przechować swą narodowość aż do dni naszych, ale od roku 1830 widzimy tu obudzone życie narodowe, naukowe, literackie i artystyczne. Cała ludność Łużyczan wynosi dziś około miliona głów, a mianowicie w części do Saksonii należącej około 350 tysięcy, i w pruskiej około 650 tysięcy mieszkańców. Ponieważ zaś jak Górna tak i Dolna Luzacya w znaczniejszej części przez Niemców już osiedlona, samych Słowian wypadnie niewięcej nad 250,000. I oto ta właśnie garstka ludzi, zdołała wyrobić w sobie poczucie własnej narodowości, a działalność jej była tak obfitą, że dziś posiada nie tylko własną literaturę, ale 7 towarzystw naukowych, 4 publiczne biblioteki, 7 drukarń, gimnazyum w Budziszynie i w Zgorzelcu, 2 seminarya, szkołę wyznań Miszońską i 141 szkół parafialnych. Staraniem i zabiegami Macicy Łużyckiej wszyscy prawie wieśniacy i kobiety umieją już czytać i pisać w języku ojczystym.

Z dawniejszych pisarzy wspomnieć musimy Michała Brancela kaznodzieję w Górnych Łużycach (1628 do 1706). On przetłómaczył na język narodowy nowy testament i niektóre rozdziały starego. Nowy testament wyszedł w roku 1760. Syn jego Abraham przełożył w zupełności Pismo św.; pisał także dużo po łacinie.

W drugiej połowie przeszłego stulecia Mattei i Szmuc ogłosili gramatyki łużyckie i słowniki. Jako historycy i literaci znani są także Knauten, Gorczański.

Do roku 1700 liczą zaledwie 50 dzieł w języku łużyckim. Od 1700—1800 było już ich ze 200.

Pod koniec przeszłego wieku i w początku bieżącego odznaczyli się Ast, Wawir, Pech, Bogacki, Men, Willa, bracia Frycy. Dzieła przez nich ogłoszone były najwięcej treści religijnej. Literatura nie istniała wcale.

Traktatem 1815 roku część Łużyc

odłączoną została od Saksonii i oddana pod rząd pruski, który już przedtem posiadał część dolnych Łużyc. Tak rozszarpani Łużyczanie zapominać już zaczęli mowy swych ojców. Uczeni ich pisali po niemiecku. Pierwszy, który obudził życie narodowe był Andrzej Lubeński († 1855), pastor w Budziszynie. On pierwszy w języku ojczystym kazania miewać zaczął i książki ogłaszać. Pisał i drukował książki moralnej i religijnej treści, wiersze i piosnki, historyczne obrazy i pożyteczne wiadomości. Sam jeden wydał 25 ksiąg i broszur i był pierwszym literatem łużyckim. Jego też staraniem wydaną została Biblia ewangelicka. Sam jeden więcej zrobił dla oświaty ludu, niż wszyscy jego poprzednicy przez lat wiele.

Po nim występuje trzech najznakomitszych pracowników: Andrzej Zajler, mistrz poetów łużyckich i autor gramatyki wydanej w r. 1830, Krigar i najzasłużeńszy ze wszystkich, i dziś żyjący Jan Ernest Smoler. On to pierwszy zaczął wydawać dziennik łużycki Tydzeńskie nowiny; pierwszy zaczął zbierać pieśni ludowe i drukiem je ogłaszać, on w końcu był założycielem Macicy Łużyckiej w roku 1847.

Wpływ i znaczenie tych kilku ludzi były tak znakomite, że w krótkim bardzo czasie, bo w przeciągu lat 20 jak pod względem oświaty, tak i moralności cała ludność łużycka przekształconą została, a za przykład do naśladowania posłużyć może, jak dobra wola i poświęcenie się bez granic, gorliwość niezmordowana, a przedewszystkiem umiejętne wzięcie się do rzeczy — do wielkich rezultatów doprowadzić mogą. Rólnik łużycki od pijaństwa i nędzy w kilkanaście lat przyszedł do dobrego bytu i stał się wzorowo moralnym. Tak nie dawno jeszcze zrujnowane i zniszczone Łużyce stały się pięknym, bogatym i oświeconym krajem.

Od ksiąg religijnych i gramatyk przechodzili stopniowo do wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej, a co najważniejsza i najdziwniejsza, że szerząca się oświata nie ograniczała się na samej tylko wyższej warstwie spółecznej, ale przenikła w najniższe sfery, do chat wieśniaczych.

Ani pruski, ani saksoński rządy bynajmniej nie tamują już Łużyczanom drogi tak szerokiego rozwoju umysłowego. Owszem, w każdej okoliczności starają się im być użytecznymi.

Od roku 1848 Macica wydaje dziennik Czasopis przeważnie poświęcony ojczystej historyi. Tu już spotykamy nowe imiona na polu piśmiennictwa jak np. filologa Weljana, poetę Pfula, Jencza, Rostoka i innych.

Macica serbska, około której łączy się całe życie narodowe Serbo-Łużyczan, posiada własny, wspaniały dom w Budziszynie, a w nim wszystko, co może przypominać Serbo-Łużyczanom ich przeszłość i co może rozbudzać ich przywiązanie do narodowości i pracę dla utrzymania takowej. Jednym z najszlachetniejszych mężów najnowszej daty, który całego siebie oddał na usługi sprawie serbsko-łużyckiej, był ks. kanonik Hornik. On niemałą położył zasługę około wybudowania własnego domu dla Macicy.

W tym roku odbywa się w Dreznie wystawa krajowa. Osobny przedział przeznaczony został wyłącznie dla wystawy wszelkich przedmiotów, które dotyczą historyi, obyczai i zwyczai narodu serbsko-łużyckiego. Król saski, który Serbów, do jego królestwa należących, otacza wielką opieką, otworzył wystawę serbsko-łużycką przemową w języku serbsko-łużyckim. Jakże to musiało być miło Serbo-Łużyczanom, gdy usłyszeli z ust panującego niemieckiego ojczysty swój język. Jakże oni go za to kochać nie mają. O, gdybyśmy Polacy doczekali się kiedyś tych czasów, że nie tylko powrócą nam naszą mowę do szkół i urzędów, ale otoczą równą pieczołowitością, jaką otacza król Albert saski poddanych serbsko-łużyckich.

NIE MOGLI ICH ROZŁĄCZYĆ.

(Ciąg dalszy.)

Powiedziawszy to, zawołał Patrascha i odszedł.

— Byłbym go dzisiaj zobaczył za te pieniądze — mówił w drodze do psa; — ale nie mogłem sprzedać jej portretu... prawda? nie mogłem.

Młynarz powrócił podrażniony do domu.

— Nie pozwalaj temu chłopcu przebywać tak często w towarzystwie Adelajdy — mówił do żony; — może być z tego powodu zmartwienie. Ona ma już lat dwanaście, on blizko szesnaście i jest wcale ładnym chłopcem.

— Przedewszystkiem ma bardzo dobre serce — podchwyciła młynarka, patrząc z czułością na obrazek umieszczony nad kominkiem, pomiędzy zegarem z kukułką i wyobrażeniem Męki Kalwaryjskiej, wyrobionej z wosku.

— Nie przeczę temu — odparł młynarz.

— A zatem jeżeli nastąpi to, co przewidujesz — ciągnęła młynarka jąkając się — nie byłoby w tem nic złego. Wystarczy chleba dla nich obojga.

— Jesteś kobietą, więc szaloną! — krzyknął Cogez uderzając ręką w stół. — Chłopak jest zgubiony ze swoją manią malarstwa. Pamiętaj o tem, co mówiłem, a jak nie, to zamknę dziewczynę w klasztorze!

Przelękniona matka przyrzekła posłuszeństwo. Bez stanowczego zerwania, starała się przeszkadzać częstym spotkaniom, lecz Nello urażony tą ostrożnością, przestał krążyć około młyna. Jakiż błąd popełnił? nie mógł odgadnąć. Wiedział tylko, że usuwają go od czasu, gdy go Cogez spotkał rysującego portret Adelajdy. Gdy raz dziewczynka podbiegła do niego z wyciągniętemi rączkami, odezwał się do niej łagodnie:

— Nie gniewajmy twego ojca Adelajdo, on myśli, że to ja namawiam cię do próżniactwa i nie lubi, gdy jesteś w mojem towarzystwie.

I odszedł zaraz, lecz z sercem ściśniętem.

Ziemia nie śmiała się już tak czarownie jak wówczas, gdy Adelajda szła obok niego ścieżką wiodącą nad brzegi strumienia; lecz nie skarzył się nawet przed psem, bo dziadek powtarzał często: Jesteśmy biedni, a biedni nie mogą wybierać, nie mogą się skarzyć — powinni tylko przyjmować wszystko, co Bóg na nich zeszle.

Nello uchylał głowę z pokorą przed wszelkiemi przeciwnościami, lecz jednej nadziei nie mógł się wyrzec, pomimo iż ona była niepodobieństwem, niedorzecznością nawet.

— Biedni mogą czasami wybierać — wołał jakiś głos tajemny w jego duszy, mogą pragnąć wielkości i nikt nie ośmieli się powiedzieć im: nie wolno!

Pewnego wieczoru, gdy Adelajda opowiadała mu smutna i zapłakana, że ojciec nie pozwolił zaprosić Nella na orzechy, chleb świętojański i tańce w jej imieniny, on jej odpowiedział:

— Zmieni się to kiedyś, maleńka — z czasem jedlina, którą twemu ojcu dałem, będzie jak złoto cenioną. Wtedy drzwi otworzą się dla mnie. Kochaj mię tylko — dorzucił ściskając dziewczynkę — a stanę się wielkim i sławnym!

— A gdybym cię nie kochała? — zapytała spoglądając zalotnie na mówiącego.

Wzrok Nella zwrócony był w stronę, w której na purpurowem tle horyzontu błyszczała wieża katedry w Anvers. Uśmiech błądzący na jego twarzy zmięszał Adelajdę.

— Będę wielkim pomimo to wszystko — albo umrę.

— Jeśli tak mówisz, to mię nie kochasz! — zawołała Adelajda ze drzeniem w głosie — ale Nello skinął głową z tym samym uśmiechem i poszedł między zboża.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Sułtan Abdul-Hamid.

Cała polityka dzisiejsza europejska obraca się około Turcyi, dla tego nie od rzeczy będzie podać podobiznę i krótki rys życia obecnego jej władzcy, sułtana Abdula-Hamida.

Abdul-Hamid znajduje się obecnie w sile wieku. Człowiek to w gruncie serca bardzo łagodny, ale jako władzcy brak mu siły charakteru, to jest najgłówniejszej cnoty, jaka koniecznie potrzebną jest w państwie, w którem życie i śmierć, dobrobyt i bogactwa znajdują się w ręku jednego człowieka. Turcya bowiem, podobnie jak Rosya, nie ma jeszcze konstytucyi i sułtan jest wszystkiem. Gdzie zaś monarcha, choćby był najlepszym człowiekiem, nie ma wystarczającego hartu woli, żelaznych nerwów dla poskromienia chciwych wpływu urzędników swych, tam muszą zapanować niezdrowe stósunki. W pałacu sułtana doszła do wpływów pewna liczba przebiegłych duchownych muzułmańskich, która sułtana potrafiła opanować zupełnie. Ci to ludzie, pełni nienawiści do chrześcian, — bo uczą bezustannie, że każdy muzułmanin ma zasługę przed Bogiem czyli ałłachem, jak oni Boga nazywają, gdy prześladuje »psy niewierne,« — krzyżują wszelkie najlepsze zamiary sułtana, zdążające do naprawy stósunków w Turcyi. Sułtan stósuje się zaś do ich rad, a ministrowie są tylko wiernymi wykonawcami tychże.



SUŁTAN ABDUL-HAMID.

Nie dziwić się tej słabości woli Abdul-Hamida. Każdy człowiek na świecie, choć najbiedniejszy, jest szczęśliwszy od niego. Nie wiedział on za młodu, co to zabawy dziecięce, wcześnie więc spoważniał. Nie zaznawszy zaś pieszczot rodzicielskich i miłości, nie nauczył się też kochać ludzi, owszem w każdym prawie upatruje swego wroga, nikomu nie dowierza. — Kucharz naprzykład musi każdą potrawę, dla niego przeznaczoną, opatrywać osobną pieczęcią na znak, że nikt do niej nie miał przystępu. — Wiecznie drzy o swe życie i ta nieszczęsna myśl, że mogą go zgładzić ze świata, podobnie, jak poprzednika jego na tronie, nie pozwala mu trzeźwo i rozsądnie myśleć. W obcowaniu z ludźmi okazuje dziwny niepokój. Jedyną istotą, którą kocha, jest jedno z żon jego, która piastuje stanowisko pierwszej. Jest miłośnikiem muzyki, zwłaszcza na fortepianie i codziennie jedną godzinę jej poświęca. Sam nawet układa kawałki muzyczne.

Abdul-Hamid jest przytem człowiekiem na wskroś pobożnym. Jeden z Turków, którzy przez dłuższy czas bawili na dworze sułtańskim, wyraził się, że sułtan jest pewnie w całem państwie najbardziej wierzącym muzułmaninem. Tem przywiązańszym stawał się zaś do swej wiary, im większe gromy spadały na państwo jego. Zamordowanie poprzednika i okropne wypadki, jakie się naonczas działy w pałacu sułtańskim, głęboko się wyryły w jego umyśle. Począł w nich upatrywać karę proroka za obojętność w wierze, jaka opanowała część narodu tureckiego. Gdy tedy przyszedł do rządów, zaprzysiągł, że co tylko w jego siłach leżeć będzie, uczyni, ażeby wiara proroka się rozszerzała. Ulubioną jego rozrywką jest pogadanka o sprawach religijnych. To przywiązanie sułtana do swego wyznania przyczynia się także niemało do wpływów duchowieństwa muzułmańskiego, które oczywiście za pierwszy obowiązek poczytuje sobie prześladowanie wszystkiego, co nie sprzyja charakterowi muzułmańskiemu.

Sułtan jest także wielkim smakoszem i jada stósunkowo bardzo dużo. Na śniadanie podają co najmniej czternaście dań na stół. Rozpoczyna się ono zaś od limonady i lodów. W południe

następuje około szesnastu dań. Przerwy pomiędzy jednem a drugiem daniem wypełnia sułtan piciem limonady i czarnej kawy, której na dworze sułtańskim wypijają niezmierne ilości. Wogóle nie wygasa ogień na dworze sułtańskim przez cały dzień. Mimo ścisłego zachowywania przepisów swej religii pokazuje się na stole sułtańskim od czasu do czasu kufelek piwa, sprowadzanego z Niemiec lub Austryi, które sułtanowi i jego urzędnikom coraz to lepiej poczyna smakować.

Ulubionym przedmiotem sułtana są także konie. Za młodu był bowiem z niego ognisty jeździec, nie dziw zatem, że zamiłowanie do koni mu pozostało. W stajniach i stadninach swych utrzymuje ich około 1400. Do niedawna lubował się jedynie w rasie arabskiej. Obecnie konie niemieckie rywalizują z arabskimi o lepszą.

Abdul-Hamid jest bardzo pracowitym człowiekiem. Wstaje codziennie bardzo rychło i natychmiast zasiada do pracy. Prawdopodobnie troski o państwo nie dają mu spokoju nawet i w nocy. Nie dziwić się! Czuje on bardzo dobrze, że powietrze w jego państwie coraz duszniejsze i że wybuchnie raz burza, która zburzy jego panowanie i rozszarpie co najmniej europejską część państwa jego na kawały. Chwila tej burzy zbliża się coraz groźniej. Prześladowania chrześcian bowiem muszą w końcu poruszyć do żywego państwa europejskie, które przeczyszczą tamtejsze zgniłe stósunki.

Opowiadanie o dworaku.

Bankier Bouret mógłby się był uważać za najszczęśliwszego z ludzi na świecie, gdyby zwykłych śmiertelników zwyczajem nie był miał także słabości. Tą słabością zaś było pragnienie mówienia z swym królem. Dzięki intrygom i wytrwałości dokonał tego, że go przedstawiono Ludwikowi XV, który naonczas bawił w Marby. Pozwolono Bouretowi zaczekać w przedpokoju, przez który musiał król przechodzić. Ludwik XV stanął przed nim, mówiąc:

»Jestem ucieszony z odwiedzin Pana, panie Bouret; odwzajemnię się Panu za takowe i zapewniam Pana, że w dobrach Jego skosztuję brzoskwiń.«

»Najjaśniejszy Panie,« rzekł Bouret, kłaniając się nizko, »najdroższe me życzenie będzie wtedy spełnione.«

Bouret nie posiadał dóbr żadnych. Natychmiast zakupił znaczny kawał gruntu, zwołał kilku sławnych architektów i według ich planów zbudował wspaniały zamek. Żaden wydatek nie był mu za wielki, słowem wyrzucał pieniądze garściami. Sprowadzał do siebie najsłynniejszych malarzy, ażeby wewnątrz pałac jak najwspanialej przyozdobili. Umeblował wszystkie pokoje w tym szczególnym stylu, który królowi najwięcej przypadał do smaku. Przy pałacu urządził wspaniały ogród, do którego sprowadził najrzadsze i najwyborniejsze kwiaty, nie zapomniał zaś przedewszystkim o brzoskwiniach. Pielęgnowanie tego wszystkiego zaś powierzył ogrodnikom, umyślnie w tym celu sprowadzonym.

Gdy wszystko było ukończone, oczekiwał Bouret z niecierpliwością przybycia króla. Upłynął jeden, upłynął i drugi rok, król jednak nie przychodził. Bouret zawiązał na nowo sieć intryg, ażeby módz doprowadzić do ponownego spotkania i przypomnieć królowi dane przyrzeczenie. Dzięki uporczywości swej udało mu się to i tą razą. Król przyjął go w Versailles. Ustawiono bankiera w pobliżu drzwi, przez które musiał król przechodzić. Król spostrzegł go rzeczywiście.

»Ah! toś Pan, panie Bouret?« zagadnął bankiera.

»Najjaśniejszy Panie,« odrzekł bankier, kłaniając się nizko, »ośmielam się Mu przypomnieć o przyrzeczonych mi odwiedzinach.«

»Panie Bouret« odpowiedział mu król, »urządzimy polowanie w Pańskim parku.« Bouret odszedł z rozpromienionem obliczem. Parku nie posiadał, ale natychmiast zakupił obszerny plac naokół swego zamku i zagajenie, które obrócił w park. Kazał zrobić wspaniały powóz strzelecki, zakupił kilka doborowych koni, psy, przyjął w służbę kilku oszczepników, woźniców przybocznych, parobków do koni, trębaczy. Wydał na to więcej jak 400 tysięcy franków. Zapełnił swój park zwierzyną, a wśród drzew kazał ustawić figurę z bronzu; przedstawiającą króla Ludwika w naturalnej wielkości. Zatrudnił najlepszych poetów pisaniem wierszy i napisów na cześć króla.

Wszystko było gotowe na przyjęcie króla. Lata upłynęły, a król nie przychodził. Konie w stajniach starzały się, tak samo i psy, rogacze zaś przez nikogo nie napastowane, uganiały się wesoło po parku, w którym oszczepnicy

stali z założonemi rękoma, wpatrując się w zadumaniu w zwierzynę.

I król się podstarzał. Bouret, chcąc mu przypomnieć o danem przyrzeczeniu, prosił o nowe posłuchanie. Po kilku latach otrzymał takowe. Król przyjął go w pałacu tuileryjskim. Podstarzał się znacznie i przy chodzeniu musiał opierać się na kiju.

»Najjaśniejszy Panie,« rozpoczął Bouret, przybierając postawę pełną uszanowania, »jeśli się ośmielam pokazać się tutaj, to jedynie dla tego, ażeby Waszej królewskiej Mości przypomnieć o danem mi przyrzeczeniu. Przyrzekła zaś Wasza królewska Mość być u mnie na polowaniu. Park mój jest napełniony zwierzyną najrozmaitszą, która jedynie oczekuje na to, ażeby do niej strzelać w obecności Najjaśniejszego Pana«.

»Jestem już za stary«, odparł król, »ażeby strzelać, ale powiedz Pan pani Bouret, że będę u Pana tańczył, skoro mnie podagra nieco opuści«.

Bankier nie był żonaty.

»Ponieważ mnie król uważa za żonatego, przeto nie wypada przed nim mego stanu kawalerskiego zdradzać. Muszę się zatem ożenić.«

Natychmiast poszedł szukać żony. Zwrócił się do swych przyjaciół, wydawał uczty, i dzięki swym złotym pieniążkom wnet był zaopatrzony. Ożenił się z kuzynką margrabiny Pompadour. Teraz był Bouret pewny, że król go odwiedzi. Lata upływały, ale król się nie zjawiał. Bouret zasięgał języka w Versailles, ale zawsze odpowiadano mu:

»Jego królewska Mość wcale nie wychodzi; skoro mu się tylko polepszy, natenczas przypomni mu się przyrzeczenie, dane kiedyś«.

Bouret czekał ciągle. Udał się na nowo do zamku i prosił, ażeby przedstawiono go królowi, odźwierny odpowiedział mu jednak tą razą z powagą:

»Mój Panie, król właśnie w tej chwili umarł«.

Praktyczne rady.

— **Wino z miodu i z owoców.** Kto ma sad i pasiekę, może z wielką łatwością przyrządzać na własny użytek, tani a smaczny napój z miodu i z owoców. Do kwarty czystej patoki dolewa się kwartę wody, a jeżeli miód jest bardzo gęsty, dwie kwarty; rozmieszawszy, trzyma się na ogniu, ażeby się płyn zagotował. Gdy zawre, należy zebrać szumowiny i naczynie odstawić od ognia. Po ostygnięciu, wygniata się świeży sok z malin, wisien, porzeczek, albo agrestu, i do soku tego wlewa się pół kwarty do dwóch kwart odgotowanego miodu, a wymieszawszy wszystko razem, zlewa się do gąsiorka. Dla szybszej fermentacyi trzeba dodać trochę świeżych drożdży, np., do półtrzeciej kwarty płynu bierze się prasowanych drożdży kulkę wielkości laskowego orzecha. Gąsiorek nie powinien być pełen, piąta część może zostać pusta. Z wierzchu szyjkę obwiązuje się kawałkiem płótna, żeby powietrze dochodziło. Gąsiorek stawia się w miejscu czystem, suchem i ciepłem. Płyn niebawem zacznie się burzyć, mętnieje, na wierzchu utworzy się kożuch. Skoro po kilku tygodniach spostrzeżemy, że pod kożuchem płyn zaczyna się oczyszczać, a męty na dno opadają, trzeba lekko zatkać korkiem gąsiorek i wstawić do chłodnej piwnicy. Później, skoro się sklaruje i wszystkie drożdże opadną, trzeba ściągać płyn czysty do butelek, za pomocą lewarka lub rurki gumowej. Wino przechowywane w chłodnej piwnicy, w zatkanych lekko butelkach, można używać dopiero w pół roku.

Rozmaitości.

* **U Braminów istnieje prawo,** że mężczyzna, który porywa cudzą żonę, jeżeli nie jest Braminem, zostaje upieczony żywcem na ruszcie, a kobietę rzucają psom na pożarcie. W Chinach prawo pod tym względem jest nieco łagodniejsze: żonę, zbiegłą z domu, małżonek może wychłostać i uważać ją odtąd za niewolnicę. Gdyby wyszła za mąż powtórnie za jego życia, ponosi karę śmierci przez powieszenie. U Kabylów, mężczyzna porywający kobietę uważany jest za zbrodniarza.

* **Który kamień jest najtrwalszy?** Najtwardszym ze wszystkich kamieni jest granit, po nim idzie wapień, potem piaskowiec, następnie łupek, w końcu zaś cegła. Obeliski egipskie, które przechowały się nieuszkodzone do naszych czasów, pochodziły ze sławnych kopalni granitu w Tryenie, w wyższym Egipcie; trwałość ich przypisują także korzystnym warunkom klimatycznym. Kamieniołomy w Craigleith, koło Edynburga, i w Portland, w południowej Anglii, dostarczają najtrwalszego materyału budowlanego, który zwycięsko się opiera s kodliwym wpływom mgły, dymu i wilgoci.

* **W Japonii łóżka nie są używane,** mieszkańcy śpią na matach, używając zamiast poduszki twardego, czworokątnego kawałka drzewa. Chińczycy mają łóżko nizkie ale ozdobnie rzeźbione; posłanie także stanowią maty. Mieszkańcy północy podczas snu muszą się wyciągnąć w całej długości, pod zwrotnikami zaś ludzie sypiają zwin ęci w kłębek. Japończyk wsuwa się na noc w worek ze skóry rena; Indus śpi w muślinowym namiocie, który

go chroni od moskitów; Niemiec przepada za pierzyną i piernatem.

* **Pioruny najrzadziej uderzają w buki.** Dane statystyczne dowodzą, że w drzewa iglaste piorun uderza 15 razy, a w dęby 64 razy częściej niż w buki. Ten fakt znany był starożytnym Germanom, którzy z tego powodu poświęcili dąb bogowi gromów. U Litwinów także dęby uważane były za drzewa Perkuna. Przypuszczano, że dzieje się to skutkiem właściwości gruntu, tymczasem zdaje się, że przyczyną jest właściwość samego drzewa. Obfitujące w olej, są więcej zabezpieczone od piorunów, niż bogate w krochmal. Do ostatnich należy dąb, którego owoce posiadają 35% krochmalu, kiedy tymczasem z buczyny wyciska się olej.

* **W Europie znajdują się dwa kościoły,** w których utrzymał się zwyczaj tańcowania podczas nabożeństwa: w Sewilli i w Echternach w Luksemburgu. W katedrze sewilskiej, w święto Niepokalanego Poczęcia, chłopcy, należący do składu chóru kościelnego, tańczą podczas Podniesienia. Przez cały tydzień po uroczystości, chłopcy, od lat dwunastu do siedmnastu, ubrani w kapelusze z piórami i strój paziów z czasów Filipa III-go, wykonywują rodzaj baletu przed wielkim ołtarzem. W kościele opactwa, w Echternach, lud tańcuje podczas procesyi w dzień świętego Willibroda.

* **Połów śledzi** w morzu Północnem rozpoczyna się w końcu Października i trwa do końca Listopada. Przez czterdzieści dni ciągną, ze wschodu na zachód, niezliczone gromady tych ryb, mające niekiedy po kilka metrów grubości; kto je spotka, może słusznie powiedzieć, że widzi więcej ryb niż wody. Zręczność rybaka polega na wczesnem odkryciu takiej ławicy i zagarnięciu jej w sieci; wielką pomocą są mu przy tem ptaki, które zawsze towarzyszą śledziom. Rybacy posługują się przy połowie olbrzymią siecią, prostopadle zapuszczoną w morze, składa się ona z kilku części, z których każda ma 30 metrów długości, a 10 szerokości. Sieci powiązane są razem i przymocowane do grubej liny, którą na powierzchni wody utrzymują pływające beczki. Wielką trudność przedstawia także wydobycie sieci i wyładowanie ryb na statek.

* **W Europie** konina od niedawna jest uważana za produkt jadalny, ale w Chinach od niepamiętnych czasów używają jej za pokarm. Biedacy muszą poprzestawać na mięsie starych koni, niezdatnych do pracy; dla bogaczów tuczą rasę koni małych, bardzo skłonnych do tycia, które ważą, po trzech latach hodowli, 400 do 500 kilogramów. Żywią je sianem, sieczką i odpadkami.

ŻARTY.

Przyczyna.

— Biedne to dziewczę nigdy się nie śmieje! Czy może jest chorem?

— Nie! ma popsute zęby!

Tą razą dla biednych.

Cesarz Aleksander I. rosyjski odwiedzał raz szpitale w Paryżu, gdzie córki dobrodziejów obchodziły z talerzami, zbierając datki na dobroczynne cele. Cesarzowi spodobała się panienka, która mu talerz przedłożyła, dla tego też składając hojny datek, szepnął do niej:

— To za śliczne oczy pani.

Panienka skłoniła się nizko i raz jeszcze przedłożyła mu talerz.

— Co? — zawołał zdziwiony cesarz — jeszcze więcej?

— Tak najjaśniejszy Panie! tą razą dla ubogich.

— Tatusiu, Władek powiedział, że wyglądam jak małpa.

— Nie martw się o to, synku; wyglądasz, jak i ja.

ZAGADKI.

I.

Pierwsza jest litera, jak inne potrzebna
Druga nam nie daje czuć koszuli braku.
Trzecią czyń co możesz, to cnota chwalebna,
Zaś całość tak konieczna, jak zegar na haku.

II.

Pewna kobieta, chcąc się pozbyć natręta, budującego jej wiek, odpowiedziała: Połowa, czwarta i szósta część mojego wieku, dodane do czterech lat i jednego dnia, oznaczą dokładnie wiek, który będę miała po upływie roku, 11 miesięcy i 15 dni. Co z tego wywnioskował ciekawski?

III.

a	d	o	a
t	a	m	t
p	m	a	k
a	d	o	a

Rozwiązanie zagadek z Nr. 12:

1.

Całość: **Światło.**

Liczby 4, 5, 4, 2, 1: **atłas**
„ 6, 7, 2: **łów**
„ 5, 6, 7: **tło.**

2.

Kazio miał o 10 książek więcej niż Jaś, czyli miał 20.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.